

Ten teatr, kiedy trzeba, potrafi uderzyć w dobry klawisz. Na żadnej scenie w Polsce nie ciąży tak wielka odpowiedzialność w tym roku wobec Wyspiańskiego, jak właśnie na scenie Słowackiego. Nie musimy znowu, jak taniec od pieca, zaczynać o związkach autora „Wesela” z tym obyczajem teatralnym. W Krakowie o wiele odleglejszą historię klepie się po ramionach, cóż dopiero młócić zaślubiny Rydla, których uczestnika można jeszcze spotkać na linii A—B. Jak trzeba więc, zebraliśmy się we czwartek na premierze i znowu można lżej przez jakiś czas oddychać. Na miejscu byli wszyscy, powiedzielibym, że zabrakło tylko Stanisława Pigonia, Jana Viktora i Bolesława Drobniera, ale to już siła wyższa. Takie wieczory udają się jeszcze tylko w Krakowie, ludzie tu wiedzą, co to jest poczucie tradycji, styl i dobra zabawa.

Na tę premierę czekaliśmy z niecierpliwością. Powiem, że nie wszyscy jednak z dobrą wolą. Wietrzno skandalik. Po mieście chodziły słuchy, że Zamkow wyprawia z Wyspiańskim brewerję i że to nie może się dobrze skończyć. Ona sama trzeba powiedzieć, podsyciła ten niepokój, wydawało się bowiem, że nazbyt gęsto się tłumaczy na łamach prasy literackiej z tego, co zamierza zrobić z „Wesela”. Te czynności zaś są u nas w podejrzeniu. No więc, spieszyliśmy tego marcowego

**Ryszard Kosiński**

## „Wesele” 1969

wieczoru na plac Ducha niepewni i pierzchliwi.

A kiedy poszła do góry kurtyna i kiedy ruszyły pierwsze kwestie, wiedziałem już, że świadkujemy przedstawieniu wybitnemu. Ze Lidia Zamkow, ten duch niespokojny, artystka stale poszukująca najbliższego naszej estetyce, naszym uczuciom, naszemu rozumowi — teatru, znowu stworzyła spektakl żywy, piękny i twórczy. Tacy artyści mogą czasami ponieść klęskę, nigdy jednak nie będą sprawiły przeciętności. Tym razem nikt nie padł — ni Zamkow, ni teatr, ni — najważniejsze — Wyspiański.

A sprawa szła o dzieło i najwyższe, i najbardziej powszechne, i arcyobywatelskie, i arcyolskie. Bije bowiem piśmiennictwo Wyspiańskiego — żeby odwołać się do słów Rudolfa Starzewskiego, uosobiającego zresztą postać Dziennikarza w „Weselu” — bije więc ta poezja „z niezmiernie natężonej inteligencji krytycznej i z ogromnie czynnej, samodzielnej, nerwowej fantazji... Dlatego krytycyzm i fantazja, mózg i nerwy, złożyły się na „We-

sele”: dzieło okrutne jak żrący rozczyn chemiczny, a drgające jak płomień rozżarzony patriotyzmem”.

Pozostało tym płomieniem dalej. Mogą go ostudzić i przygasić podli kucharczycy, w dobrych rękach idzie z tej poezji ogień. Nie dymy. Zamkow przeniosła dyskusję z bronowickiego dworku między modernistycznymi poetami i Czepcami na Rynek krakowski roku 1969. I owo Polski ratowanie zmieszane z egoizmem, chłopską pazernością i inteligentnie wahań, ogólną niemożnością i poszukiwaniem programu, lęki, frustracje i tromtadracki polonizm, całą siarkę i ogień „Wesela”, zakończony wybournym finałem — pobudką, finałem-sarkazmem. Gadanie, ratowanie, szukanie — dymy, dymy — zakręmy poloneza.

To przedstawienie, z którego daje śpieszną, dziennikarską relację, trwa bite trzy i pół godziny — nie szkodzi, nikt się nie nudzi. Pisałem nie tak dawno z okazji „Braci Karamazow” w telewizji, że nie każdy teatr można oglądać z landrynkami w ręce. Na szczęście. Twórcze spektakle wymagają współdziałania widowni,

zmuszają ją do natężonej uwagi, do wysiłku intelektualnego. Tylko z takiej współpracy mogą zrodzić się obopólne korzyści.

„Wesele” Zamkow, wbrew wspomnianym wyżej obawom, jest „Weselem” Wyspiańskiego. Jest także — rzecz jasna — „Weselem” reżyserki; skomponowała je ona bowiem wedle własnego widzenia plastyki sceny, ruchu i czucia teatru. Bogato i prosto. I dźwignęła wreszcie akt drugi sztuki (na którym padali wielcy i mali majstrowie sceny), transponując widmowe postaci na bohaterów sztuki. Zabieg ten okazał się logiczny i czytelny, zasadnicze treści, jakie niosą Widma, w dawnych inscenizacjach zawsze właśnie przez ową fantastyczność w pewnym sensie odrealnione, zbrzmiały w tym wydaniu sugestywnie i jasno.

Scenę zabudowali funkcjonalnie ładnie i — rzekłbym — skromnie Lidia i Jerzy Skarżyński, oni też są autorami pięknych kostiumów.

Aktorzy?

Nie chciałbym wyróżniać specjalnie kogokolwiek, był to bowiem

**Teatr**

spektakl całego zespołu. Przecież godzi się wymienić choć czołowych aktorów, a ci, których z konieczności pominię, niech odpuszczają mi grzech, bo wszyscy zasłużyli na wzmiankę. Wypiszmy więc tylko tę najwidoczniejszą czołówkę, z której wszyscy właściwie mają dobry udział w spektaklu: Kazimierz Witkiewicz (Gospodarz), Katarzyna Mayer (Gospodyni), Wojciech Ziętarcki (Pan Młody), Nina Skołuba-Szmidt (Panna Młoda), Maria Kościółkowska (Marysia) i dalej Leszek Herdegen (Poeta) i Włodzimierz Saar (Czepiec) i Teresa Budzisz-Krzyżanowska (Rachel) i Maria Nowotarska (Maryna) i Arkadiusz Bazak (Dziennikarz) i Andrzej Mrowiec (Jasiek) i Jerzy Sagan (Dziad)...

Muzykę sącząca się nieustannie przez okna bronowickiego domu skomponował Stanisław Radwan. Bardzo przylegająca do przedstawienia choreografia wyszła spod ręki Zofii Węclawówny.

Teraz porachujmy szybko. Lekko licząc, w tym sezonie ukazały się na scenie im. Słowackiego trzy wielce znaczące przedstawienia: „Rzecz listopadowa” w reżyserii B. Dąbrowskiego, „Powrót Odysa” Jerzego Golińskiego a teraz „Wesele”. I po co to biadolenie, które się jeszcze słyszy, że teatr przeżywa kryzys. Daj Boże wszystkim scenom w Polsce takich zapasów.